NUMER 2. DNIA 8. STYCZNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z NAD WILJI.

Hen daleko, w krainie krwią ofiar barbarzyństwa przepojonej, wśród grobów poległych z rąk katów i ciemiężców, wznoszą się pomniki ciche, pod osłoną tajemnicy! Jeden z takich pomników podajemy według fotografji, przesłanej do redakcji „Kurjera Lwowskiego“. Wzniesiony on został ku czci i ku pamięci najukochańszego wieszcza naszego! U stóp jego korzą się i płaczą tysiące, tak płaczą, bo potomkowie owych bohaterów, co nieśli swe życie za ojczyznę i śmiało stawili czoło najazdowi, nie mają dziś nic prócz łzy, a wielu z obecnego pokolenia brak siły charakteru nawet dla bierności baraniej, oni gną bowiem głowy dobrowolnie i podają gnuśnie szyje do łańcucha!



Wieszczu, którego pomnik wznoszono wśród obawy, aby katowską dłonią nie był sprofanowany, czybyś znalazł w twem sercu, kochającem miljony, chociażby jedną iskierkę miłości dla tych małodusznych, dla tych upodlonych ugodowców, którzy za marną misę soczewicy, lub za jeszcze marniejszą odzież liberyjną, sprzedali swoje sumienie, swój patrjotyzm, swoją przeszłość całą! Zhańbili imię Litwinów! „Panie nad pany! przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią, oni znieprawieni zostali najnikczemniejszą propagandą ugodowców, stracili bussolę instynktu narodowego, upadli na duchu! Uzdrów! Oświeć ich! wsącz w ich serca promień ożywczy miłości ojczyzny! Niech przejrzą i poznają otchłań dokąd dążą!“ Taki głos niewieści z piersi bolejącej odzywać się zdaje do nas od wizerunku umieszczonego u szczytu pomnika.

Matko Bolesna! Ty coś przeczuła męki straszliwe przy zgonie Syna Twego ukochanego, Ty jedna odczuć potrafisz głębie boleści naszej, gdy zmuszeni jesteśmy patrzeć na śmierć duchową braci rodzonych! Jeżeli już każesz im przebaczyć, to ukój nasze cierpienia, choćby tą nadzieją, że duch zniepráwiony da się jeszcze odrodzić w cnocie!

Ten symbol: cnoty patrjotycznej, miłości bezbrzeżnej dla ojczyzny, zaklętych w marmur pomnika, do którego się garniemy, nieszczęsni w naszej niemocy, niechaj będzie gwiazdą przewodnią dla wszystkich naszych myśli i czynów!

Jeden z wielu Litwinów-Polaków.

Pod trzeciego króla.

Dzień był prześliczny, na jaki się tylko polski maj mógł zdobyć. W nadbrzeżnych wiklinach tkliwy słowik nie żałował swego gardziołka, a skowronki nuciły swe ranne paciorki, Stwórcy na cześć, a na rozweselenie ludności nadwiślańskiej. O! bo ta ludność wtedy potrzebowała bardzo tego rozweselenia. Nie było jeszcze jej wiadomo ani o zarobku w Saksonji, ani w Ameryce, wszystka wiara kamieniem w domu siedziała całą zimę, a i letnie zarobki były bardzo skromne.

W Ujsciu pojezuickiem, leżącem na prawym brzegu Wisły, tuż na prost Opatowca, roiło się od rana niby w ulu od różnorodnej ludności. Mężczyźni z tobołkami na barczystych plecach żegnali się z żonami i dziećmi, które wieszały się u opalonych szyjek tatusiów i razem z matulami zawodziły.

To flisacy wychodzili na ryzę*) czyli na flis, Wisłą do Gdańska. Całą zimę siedziało to biedactwo, czekając wiosny, jak dusznego zbawienia, toć nie dziw, że z radością wyrusza gromadka oryli na modrą Wisłę, bo wie, że i świata bożego szmat zobaczy i grosza co nie bądź się zarobi.

Aby tyle życie tam nie kosztowało, to kobiety przysposobiły im w tobołki, „żywobycia", czyli „leguminy". A więc kaszy krupianej, czy jaglanej, nieco ziemniaków, chleba ze 3 bocheneczki, bryłkę masła, lub serek opieczony, ot jak tam która mogła się przepomódz.

Wsiedli na tratwy, chwycili za drygawki, krzyżykiem czoło zaznaczywszy i popłynęli na drugą stronę do Opatowca.

„Maciek, wołała jedna z kobiet, a ino nie zabacz kupić Maryśce bursztynów". — No, no, nie trap się, odparł wołany, a jeno tam pamiętaj ta o gadzinie (t. j. o bydle), to i bursztyny będą.

— A gdzież to ci ludzi odjeżdżają i czego te baby z dziećmi płaczą, pytałem jednej znajomej mi kobiety, a byłem wtedy jeszcze ot dwunastoletni zmorek.

— A bo widzisz moje dziecko, nasi jadą na flis, a cóżbyśmy nie miały płakać, kiedy te chudaki jadą aż „pod trzeciego króla do Gdańska".

Roztworzyłem gębę od ucha do ucha, bo o Gdańsku niewiele wtedy słyszałem, a to słowo „pod trzeciego króla" wydało mi się czemś nadzwyczajnem i wyobrażałem sobie, że ci ludzie jadą pewnikiem co najmniej na koniec bożego świata.

*) Kto odstawi drzewo czy galary do miejsca przeznaczonego czyli do „pala", o tym się mówi, że odbył „ryzę".

Widok tych flisów utkwił mi głęboko w pamięci, a lusterko modrej naszej Wisełki odtąd mi stało w pamięci nieustannie.

Mieszkając w pobliżu Wisły, co wiosnę wsłuchiwałem się w owe przecudne okrzyki retmanów, w owe „ho! ho! waraha od lądu", a widok flisaków krakowskich, wracających z flisu przez naszą wioskę, rozbudzał moją ciekawość do ostateczności. Pamiętam jak szli gęsiego, najstarszy na przedzie, chłop rosły jak świeca, pas na nim kowany, kapelusz wysoki z strojną wstęgą, fajka w ustach, a wiosło na ramieniu, niby szabla u oficera. A nierzadko szedł z nimi i nieduży flisaczek, co mię w zazdrość wprawiało, dlaczego jabym już na flis iść nie mógł.

A pójdźże dopiero, gdym się dorwał od poczciwego nauczyciela Robinsona? Jego budowanie tratew pożerało moją duszę i radbym co prędzej wyrwać się na ryzę.

Z największą skwapliwością przysłuchiwałem się gwarze starych flisaków i nie mógłem się nadziwować, gdy jęli opowiadać to o „Sodomirzu", to o „Pietrawinie" i „Warsiawie", to o tej „Mysawie", co ma dotąd wieżę, w której króla „Popieluszka" myszy zajadły do „imentu".

Czytając wiersz Czajkowskiego: „Nasza się Wisła ukochana toczy" nie mogłem się nacieszyć. A Pol swym artykułem o flisach do rozpaczy mnie niemal z niecierpliwości przywodził.

Co za urok miał flis dla mnie, kiedym czytał np. u Pola, jak się to ludzie z brzegu pytają flisów: „A skąd Bóg prowadzi?"

— „Krakowianie od Krakowa, pozdrawiają się w Bogu". Albo jak dzwonią w dzwonek św. „Warwarki", i proszą Boga za dusze potopionych w Wiśle? Czytelniku! ja nie wiem, czy ty zrozumiesz, jak takie obrazy rozpierały moją chłopską duszę, ale chcąc to zrozumieć, trzeba być głodnym chłopakiem, mieszkać nad Wisłą lub Sanem i koniecznie mieć lat 20.

Była ci jedna czarna plamka w tym wymarzanym obrazie, a to gdym czytał, jak Pol opisuje powrót orylów do domu i mówi, że „jest niewesoły", ale to mi dobrego humoru nie psuło, tylkom postanowił co prędzej udać się w tę pociągającą podróż.

Nareszcie starzy oryle orzekli jednogłośnie, że już „drygawką" potrafię robić i „śryka" *) udźwignę,

*) Śryk gruby i wysoki drąg dębowy, którym się tratew hamuje w biegu.

więc fraszka o paszport defluidacyjny, ale jak się tu dostać na flis?

Boć to wtedy ludzisków czasowych było podostatkiem, a wszyscy liczyli na ów flis, niby Stojałowski na Szajera, to dostać się frycowi na ryzę, rzecz była nie łatwa na on czas.

Pamiętam, jak starzy oryle opowiadali, że drzewiej była po temu wielka łatwość, jedno że spławiano Wisłą nietylko drzewo, którego było pełno naokoło, ale sól i zboże, toć flisaków trzeba było sporo, ale w czasie, gdym ja się do tego modlił, zależało od dobrej woli starego Mośka, czy kto ma iść „pod trzeciego króla“ czyli nie. I dziwna rzecz, że ten żyd, nie mając swego parlamentu, sejmu, starostwa, rady powiatowej i t. p. wszędzie się wciśnie pierwej, niż ktokolwiek bądź, wszędzie pierwszy, i swym sprytem a pieniądzmi wszędzie ma prym i względy. I ażeby ten fakt kiedy się nie zmienił, dlatego zapewne w galicyjskiej sali sejmowej umieszczono na jednym z obrazów, przedstawiających handel, jak chłopi w zgrzebnych ubraniach i boso dźwigają wory ze zbożem, a żyd dostatnio ubrany wypłaca im na suchą dłoń nędzną zapłatę. Czy to już ma być tak u nas na wieki?

Za pośrednictwem przyjaciela ś. p. mego tatusia dostałem się do tego zarobku, i w r. 1877. po raz pierwszy wychyliłem się z domu. Do lat dwudziestu, nie byłem nigdzie dalej, jak w Odporyszowie na odpuście, a w Dąbrowy byłem po raz pierwszy jako rekrut. To też aż mi omal wtedy oczy słupkiem nie stanęły, kiedym ujrzał z 10 latarni kopcących i tyleż różnych sklepów.

Wyszedłszy na ukochaną ziemię, która się zowie: „Królestwo polskie“ ujrzałem po raz pierwszy moskiewskich żołdaków, którzy mnie na umór rewidowali, a było to w Opatowcu.

Opatowiec, niegdyś miasto, a po r. 1863 zaliczone do rzędu osad nie ma nic dzisiaj godnego do widzenia. Prócz starego kościoła z bardzo mile brzmiącym dzwonkiem w sygnaturce i obrazem św. mego patrona nie wiele co więcej może Opatowiec dziś pokazać. Ucieszyło mnie to, żem swego patrona zobaczył i przypomniałem sobie Jego żywot. Biedak calutkie życie pracował w winnicy bożej i ledwo pięciu hiszpanów dla Chrystusa pozyskał. Dopiero po śmierci: „więcej nawrócił umarły, niż żywy“ czytałem w jego żywocie. Czytając, jak mój św. patron nie miał szczęścia za życia, nie dziwię się, że zwykłe Kuby są w takich opałach. Może też choć po śmierci Bóg się nad nami zmiłuje.



OPATOWIEC.

Opatowiec niegdyś należał do opatów tynieckich i zapewne od nich wywodzi swoje nazwisko. Gdzie tu Jagiellończyk przyjmował poselstwo perskie i weneckie, któż to dziś odgadnie?

Tu w r. 1863 przeprawił się z częścią oddziału Langiewicz i w Ujściu pojezuickiem został uwięziony. Pamiętna to była chwila, gdy powstańcy z wysokiego brzegu rzucali broń do Wisły, wezbranej natedy, a sami na promie i łodziach przeprawili się do Galicji. Między nimi byli: dwóch pp. Zielonków i Mańkowski, zmarły niedawno we Lwowie zecer.

(C. d. n.)

Jakób Bojko.

Jeszcze o portrecie Goslara.

W sprawie zamieszczonego w poprzednim numerze nieznanego portretu Juljana Goslara, otrzymujemy następujący list:

Do uwag o portrecie Juljana Goslara, na temat czy rzeczywiście tak wyglądał niezapomniany emisarjusz, jak go przedstawia śp. Szczęsny Morawski, mogę jako osobisty znajomy i kolega Goslara, chociaż o dziesięć lat młodszy od niego, dodać następujące szczegóły:

Portret jest rzeczywisty i innego nigdy nie było, tylko że portret ten przedstawia osobę Goslara ucharakteryzowaną t. j. przebraną, gdyż był on dzielnym emisarjuszem, dzisiaj był we Lwowie, a jutro coś kupował w Śniatynie, pojutrze w Tomaszowie, i tak ustawicznie był w ruchu, ażeby zmylić swoich prześladowców, zawsze był tak ucharakteryzowany, że nawet znajomi nie mogli go poznać.

Nie wiem, czy żyje jeszcze Władysław Czaplicki, pochodzący z Horożanny; byli oni razem na Szpilbergu; w roku pamiętnym, kiedy Goslara uwolniono — to się rozpłakał, że zostawi tylu towarzyszy w więzieniu.

Pamiętam piosnkę jego wyśpiewaną wówczas:

„Dziś opuszczam to więzienie — bo już przyszedł czas...
„Ach! kochajcie me wspomnienie, jak ja kocham was...
„Rozchodzim się w zachód słońca, a drudzy na wschód,
„Gdyż nasz węzeł jest bez końca, bośmy — jeden ród.

I poszedł, ale nie na długo, później... miłość dla narodu zapieczętował śmiercią swoją we Wiedniu.

Był to silny i czerstwy chłop — a portret rysowany przez śp. Morawskiego jest rzeczywisty, ale w przebraniu. Szkoda, że nie ma na nim kapelusza słomianego, z którym się nigdy nie rozłączał. Jeszcze gdzieś musi być inna jego fotografja w chłopskiem ubraniu — ale może ją kiedy kto gdzie wyszuka.

Miło mi, że choć tyle wspomnienia, po tylu latach, swemu znajomemu mogę ofiarować. Niema już dzisiaj takich zahartowanych ludzi.

P. S. Gdyby był żył, to teraz byłby liczył 84 lat, gdyż ja mam 74 lat. — Cześć jego popiołom.

Józef Sadowski.

Staniątki dnia 2. stycznia 1905.

* * *

W tej samej sprawie otrzymaliśmy również następujące uwagi:

„Z nadzwyczajnem zadowoleniem wziąłem numer Tygodnia, zawierający portret Goslara. Jest to bowiem niezmierna osobliwość, o którą wielu już ludzi się dobijało, starania na wszystkie strony czyniono i napróżno. Do dziejów jednak tej epoki podobizna tego filara wszelkich spisków, agitatora, czyli jak wówczas zwano: emisarjusza stawała się ogromnym brakiem. Przy wydaniu np. opisu powstania w Chochołowie w r. 1846. czynił mój syn zabiegi we Lwowie o portret Goslara. Ja dostarczyłem Andrusikiewicza i X. Kmietowicza, syn zdobył portret X. Głowackiego, a do koniecznego uzupełnienia tej książki brakowało Goslara, no i starania nie przyniosły rezultatu pomyślnego.

Znam innych ludzi, co też w Wiedniu i wszelkie po Galicji poszukiwania skrzętne czynili dla odszukania podobizny Goslara, więc z odkrycia obecnego dzieje nasze wiele skorzystały. Pokazywałem tę podobiznę jego w „Tygodniu“ memu teściowi, 80-letniemu starcowi, który w r. 1846. był mandatarjuszem w wadowickim powiecie, i znał Goslara. Otóż on mi tyle powiedział, że poznał w owych czasach tego spiskowca w Bochni i tak mi go opisał: był wzrostu średniego, nikłego, na twarzy był brzydki i dzióbaty, włosy jasne płowe, wąsy takież, ale brody nie nosił. Niniejszy portret go przypomina, ale owa wielka broda bardzo czyni odmiennym od fizjognomji, z jaką go znali w kraju bez zarostu na brodzie w owych czasach.

W r. 1848. wszyscy postępowcy brody zapuszczali, to i Goslar w tym dopiero czasie musiał ją zapuścić. Byłby to tedy portret jego z końcowych lat jego życia krótkiego. W więzieniu zresztą w ogóle trzymani przestępcy polityczni nie golili się.

Walery Eljasz Radzikowski.

OSTAP ŁUCKYJ.

Z różnych chwil

(FRAGMENT)

Oj zawisły czarne chmury,
Zawisły nademną,
A ty smutku mój przecichy
Zawsze będziesz ze mną.

Czy to barwne kwiaty płyną,
Czy puch śnieżny pada —
Wciąż się jawi i przedemną
Twa twarz staje blada.

W cichą, cichą noc wiosenną
Łąką wolno chodzisz,
Sny przesłodkie, dumy srebrne
Za ręczęta wodzisz.

A gdy szara jesień przyjdzie,
Na pierś głowę kłonisz
I nad snami wiosennymi
Cicho — cicho dzwonisz...

Ot i ninie... Czarne chmury
Zawisły nademną — —
Oj! ty smutku mój przecichy
Zawsze będziesz ze mną.

Z ukraińskiego tłóm.
Fel. Gw.

Na stanowisko!

Wicher dmie, huczy, szaleje, stwierdzając z zaciekłością, że nastało jego panowanie, że przeszły już ciche wieczory lata, wspaniale zabarwione odblaskami zachodzącego słońca. Już im nie pławić się w złocie, w czerwieni, w tonach perłowo-różowych, w ciemnych fioletach zapadającego zmroku! Teraz on włada! Napędził na zachód gromady chmur ciężkich, a tak gęstych, że najmniejszy promyk nie przebije się przez tę brudną, szarą masę, skłębioną i prącą kędyś z wielką siłą. Nie przebije się, nie ma obawy! Kula słoneczna zapada w przepaść nocy niewidzialna, zaledwie odgadniona przez nikłe pasemko, snujące się na południowej stronie. Ale i ono staje się coraz niklejsze, znikome, wsiąkające w listopadowe przedwieczorne mroki.

Wicher dmie, huczy, szarpiąc bezlistne szkielety drzew rozrzuconych z rzadka, na polanie wciśniętej pomiędzy dwa zagajniki. Gałęzie szamoczą się zawzięcie, roniąc wielkie krople z czarnych, przemokłych od deszczu prętów.

W zagajniku ciszej... Tęgie, jędrne chojaki stanęły zwartym szeregiem i nie przepuszczają szalonych porywów, z głuchym szumem zapadających w młode pędy oblepione zielonemi igłami. Nizka, paroletnia grabina, z uporem trzymająca swe rudożółte, zeschłe liście, porusza niechętnie sztywnemi supełkowatemi gałązkami, szeleszcząc trwożliwie. Tu i ówdzie górujące nasienniki rozpościerają wielkie konary, jakby osłaniając cisnącą się u ich stóp młodzież niedorosłą.

— Panie... jakże wam, bo zapomniałem — szepcze człowiek przytulony do jednego z tych dużych drzew.

— Nazywajcie mnie Ignacym — odpowiada drugi, po miejsku ubrany, z nasuniętą na oczy czapką.

— Panie Ignacy, zatrzymajmy się trochę... Trza wydychnąć... Teraz najgorsze przyjdzie... i niechaj się sprawiedliwiej ściemni. Za tym gąszczem jest pas prawie pusty, ot, gdzie niegdzie stoi drzewo i to gołe, zwyczajnie jak w jesieni.

— Dobrze, odpocznijmy... żeby tyko deszcz nie ustał!

— Po nocy, to i on nie konieczny! Nie słychać nic, wiatr tak szumi jakby stu wisielców kołysał! No, juści lepiej żeby padał, bo nie tak łatwo zobaczą.

Pan Ignacy wstrząsnął się.

— Coś i was przypiekło, kiej drapiecie?

Odpowiedzi nie było. Po chwili znów szept chłopa starał się zagłuszyć szelest grabowych listków.

Jak już będziecie na tamtej stronie, to dajcie znak. Okrutnie ciekawi będziemy, jak wam się udało, bo ja tylko do linji, a tam sami musicie. Pokażę co i jak, kędy się macie brać i drała napowrót! Jakby strzelali, to wy buch na ziemię! Przeczekajcie... a potem znów biegiem... Ale wam bystro z oczów patrzy, dacie sobie radę!

— Może już pójdziemy?

— Niechaj jeszcze gęściej ściemnieje. Pilno wam! Najecie się jeszcze austrjackiej woli!... A znaku nie zapomnijcie dać. Jak człek sam nie może, to choć rad wiedzieć, czy się innemu udało.

— Czemuż to sami nie możecie?

— Czemu? A ziemia panie! Jej na plecy nie zabrać! A znów z drugiej strony rzecz biorący, to i tu można się przydać.

Chłop pomyślał chwilę, potem dodał:

— A jeśliby tak, na ten przykład, wszyscy się przekradli, to przy kim ostanie się to, co nasze? On, psia jego krew, chciałby zagarnąć, pewnie, ale niedoczekanie! Wara!

— Ciszej!

— Tutaj nie posłyszą, na linji chodzą.

Ciemność stała się już taka, że zaledwie można było rozróżnić kontury drzew stojących o parę kroków. Wicher z ogromną siłą miotał drobnym, gęstym deszczem.

— Chodźmy już!

— Chodźmy.

Przeciskając się przez miękką puszystość chojaków, zaczepiając o sztywne gałązki grabiny, wydostali się na polanę, gdzie ich przywitał taki pęd wichru, że mieszczuch zachwiał się.

— Z nieprzywyczki — szepnął chłop — ale zbierzcie się w kupę, to i pójdzie!

Pan Ignacy owinął się szczelnie w poły palta, podniósł kołnierz, głowę wysunął naprzód i szedł z determinacją. Starał się nie myśleć o niczem, a tylko uważać na własne kroki, by nie robić szelestu, ale ostrożność była zbyteczną. Nogi grzęzły w rozmokłej ziemi bez najmniejszego odgłosu, a w myśli stawały pomimo woli, niedawno słyszane słowa: „Jakby strzelali..."

Jakaś bolesna złość opanowała pana Ignacego.

— No to i cóż? — myśli on — gdyby strzelali, to mogliby zabić... a nie wszystko jedno, tu, czy tam! Trzeba teraz iść naprzód! Może się uda. Rozmyślania nie pomogą. Wszak wiedział i przed tem zanim się zdecydował, że przeprawa nie jest łatwą, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Teraz nie myśleć, a iść trzeba!

— Zbierajcie nogi! Prędzej! — słyszy szept.

Oblepione błotem nogi z trudnością dają się wyciągać z grzązkiej roli, ale dobywając sił idzie pan Ignacy szparko, doganiając przewodnika.

Jeszcze kilkanaście trudnych, ciężkich kroków, jeszcze kilka gwałtownych szarpnięć rozhulanego na wolnej przestrzeni wichru i są już w drugim zagajniku. Górą słychać gwałtowny, przeciągły szum, ale na dole w zaciszu można swobodnie oddychać. W wilgotnym zaduchu czuć zapach zbutwiałych liści, pomięszany z ostrą wonią żywicy.

Przewodnik przedziera się z trudem przez powikłane zarośla, w ślad za nim postępuje Ignacy ochraniając się w ciemności nie zbyt skutecznie od uderzeń mokrych, zimnych gałęzi.

Wkrótce lasek się kończy, w mgle deszczowej nic a nic nie widać.

— Muszę poszukać swojej mety — mówi cicho przewodnik i zwraca się brzegiem lasku na prawo. Po kilkunastu minutach staje, drapie się zakłopotany za uchem, szepcząc:

— Zgubiła się, bestja, w tej ciemności!

Powracają tedy skąd przyszli i idą w milczeniu dobry kwandras...

— Jest! już ją mam! Bieleje!

O kilka kroków wznosi się wysmukła, pochylona brzoza, białością swą rysująca się w mroku. Jej długie wiotkie gałęzie targane wiatrem smagają wilgotną ciemność, wydając stłumione świsty, podobne do jęków.

— Stańcie równo pod tą brzozą... Jak pogoda to prościusieńko widać gwiazdę, teraz ani jej śladu! Musicie tak wprost przed siebie, jak Pan Bóg przykazał. Za dwa pacierze będziecie na samej linji... później jest rzeczka, za nią pagórek, jak się będziecie po nim drapać — to już tyłem do nich! Tam, psia krew, niema prawa strzelać... stamtąd możecie im pokazać... figę! Ruszajcie z Bogiem, niech pan Jezus pomoże!

Ignacy sięgnął do bocznej kieszonki, gdzie zabrzęczały pieniądze, przewodnik po brzęku zrozumiawszy zamiar, schwycił go za ręce:

— Nie, nie trzeba! — szeptał — schowajcie... przydadzą się... my głodem nie przymieramy!

— Ależ, kiedy mówiono mi, że bierzecie...

— Czasem biorę, a czasem i nie! Różnie bywa! Ino abyście szczęśliwie przeszli... No, idzcie, teraz dobra pora...

Ignacy ścisnął dłoń przewodnika i ruszył naprzód.

— Prościutko jak strzelił! Nie zbaczajcie! — słyszał szept, ale nie przystanął, ani się obejrzał. Szedł szybko, wytężając uwagę, aby cicho stąpać.

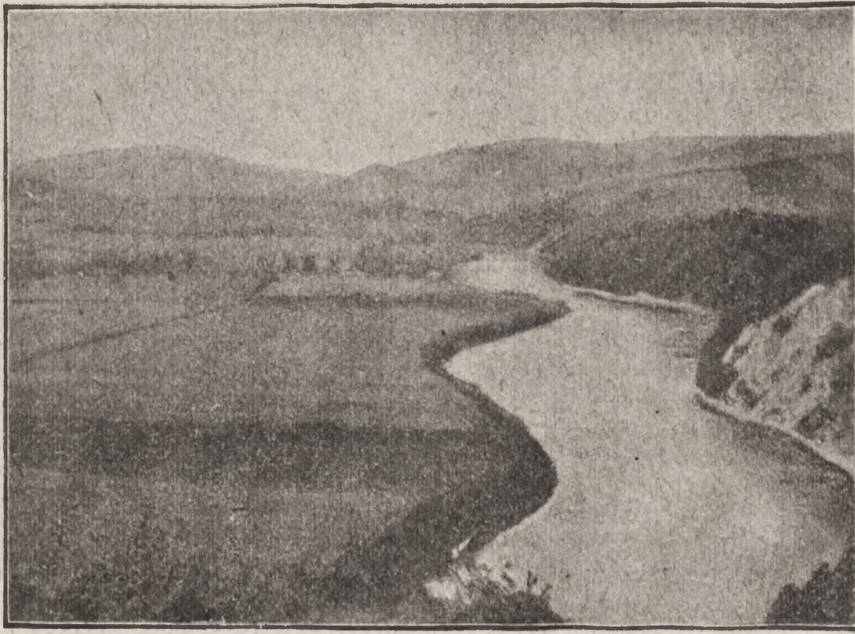
Teraz, w chwili największego niebezpieczeństwa nie czuł bynajmniej trwogi, tylko jakąś silną w głębi wnętrza poczętą zawziętość. Szedł, żałując, że nie zaczął pacierza, aby wiedzieć kiedy wstąpi na najgroźniejsze miejsce. Wydawało mu się, że nie dwa, a sto pacierzy byłby już zdążył zmówić, a jeszcze nie napotkał zapowiedzianej rzeczki. Czyżby zboczył... ale nie, idzie prosto...

Nagle, usłyszał mocne, miarowe stąpanie. Poczuł gorąco w całem ciele od nóg aż do ostatniego włoska na czubku głowy. Zatamowawszy oddech stanął. Stąpanie zbliżało się, równo, jednostajnie, następnie ucichło raptownie. Parę minut trwało głuche milczenie, zawodziły tylko poświsty wiatru i deszcz szumiał cichym, stłumianym szmerem. Po chwili rozległ się suchy trzask raz, drugi, trzeci...

(Dok. nast.)

Ksawery Marjan.

Ze swojskich krajobrazów.



LUBACZÓWKA, DOPŁYW SANU, W POW. CIESZANOWSKIM.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

KSIĄŻKI. ***Galicyjski Sejm stanowy*** (1817—1845) przez dra Bronisława Łozińskiego. Lwów 1905. Dr. Bronisław Łoziński, największy bez wątpienia znawca psychologji, taktyki i całej historji naturalnej osławionej biurokracji galicyjskiej, wystąpił obecnie z monografją galicyjskiego Sejmu stanowego, który wznowiony w r. 1817 trwał aż do roku 1845. Współcześnie nazywano tę parodję ciała konstytucyjnego „sejmem mundurowym“ z powodu ściśle przepisanych mundurów dziwacznych, biurokratyczno-wojskowych, w których członkowie stanów występowali, a które zarazem stanowiły jedyną treść, przywilej owej korporacji. Nazywa się ów sejm również „postulatowym“ dlatego, że rząd centralny przedkładał mu swoje „postulaty“, to jest wymagania podatkowe najczęściej, a sejm musiał się na nie godzić z wyrazami hołdu i lojalności dla cesarza, przyczem wolno mu było jeszcze przedkładać najpokorniejsze prośby do tronu, z któremi kancelarje nadworne postępowały zwykle bez żadnej ceremonji, a nieraz wprost brutalnie. Złożony pod przewodnictwem każdoczesnego gubernatora ze stanu magnatów, rycerskiego i dwu reprezentantów miasta Lwowa (bez głosu) przeniesiony żywcem do Galicji z innych krajów austrjackich, pozbawiony wszelkiego znaczenia i wpływu, wzbudza sejm stanowy uczucie litości pomieszanej z pewną humorystyką na widok szopki z pozorami pompy i powagi. Mimo to jednak, według badań dra Łozińskiego, w tych czasach czarnych i strasznych, sejm stanowy położył niektóre ważne zasługi dla kraju, zwłaszcza przy zakładaniu Bibljoteki Ossolińskich, Tow. kredytowego i t. d. i bronił kraju przed germanizacją i uciskiem podatkowym, jak mógł i jak mu w granicach lojalnych błagań było wolno. W końcowych uwagach nawiązuje autor nić tradycji między dawnymi „stanami“ a dzisiejszym sejmem galicyjskim, — nawiązanie trafne, choć nie w tym duchu, jak to czyni autor, bo i w dzisiejszym sejmie drzemią dawne uczucia czarno-żółtego lojalizmu, pokornych błagań i obawy własnego cienia, z tą tylko różnicą, że dawnym stanom było to wszystko nakazane, a sejm dzisiejszy uprawia to z czarno-żółtego amatorstwa i bez potrzeby.

Fr. Jaw.

Dramaty japońskie. *I. Takeda Izumo: Terakoja albo Wiejska szkółka. Dramat w 1 akcie. II. Yamada Kakashi: Asagao. Dramat w 1 akcie. Przeł. Henryk Fogl.*

W „Bibljotece Powszechnej“ W. Zukerkandla ukazały się w przekładzie p. Fogla (z niemieckiego) dwa dramaty japońskich poetów. „Terakoyę“ Takedy Izumo zna już wielu czytelników ze sceny i ze sprawozdań teatralnych. Do łez wzruszająca historja o bohaterskiej śmierci kilkoletniego Kotara i o niezwykłem poświęceniu się jego rodziców dla sprawy — jest jakby serdecznym listem do nas wystosowanym z państwa Wschodzącego Słońca. Tylko ten list zatracił swą słoneczną świeżość w przekładzie p. Fogla. Brak tej etervcznej muzyki słowa, która cechuje japońską poezję.

Lepszym jest przekład drugiego dramatu (choć i ten nie dorównuje przepysznemu przekładowi niemie

ckiemu, wydanemu w Tokio). „Asagao“ Yamady Kakashi — to rzewna historja o pięknej Miyuki, z przydomkiem „Asagao“ (co oznacza: „powój błękitny“, dosł. „oblicze poranka“) — o córce rycerza Akitsuki Yuminosuke, majordoma księcia z Aki. Zakochała się piękna Miyuki w młodym rycerzu Komazawie Jirosaemon, lecz po kilku słonecznych chwilach los srogi ich rozdzielił. Następnie ojciec chce wydać Miyuki za nieznanego jej rycerza. Wtedy Miyuki ucieka z domu i szuka Komazawy i płacze, tęskniąc — aż i oczy wypłakała. Pewnego razu w oberży zacnego Tokuyomona „pod bogiem szczęścia“ zjawia się rycerz Komazawa i dowiaduje się od gospodarza, że w okolicy błąka się dziewczyna, którą zowią „Asagao“, od piosnki pod tym tytułem przez nią śpiewanej. Następuje spotkanie.

Komazawie serce się kraje na widok ociemniałej Miyuki, śpiewającej pieśń o błękitnym powoju, który

„Tylko w porannej wczesnej go-[dzinie,
Gdy krople rosy poczuje w swem [łonie,
— — — — Kielich swój rozwie-[ra —
Lecz kiedy z niebios pożogą w kwiat [spłynie
Promieni słonecznych bezlitosny [rój
I wyssie z płatków wszystek rosy [zdrój,
Nieszczęsne kwiecie omdlewa i gi-[nie:
O, gdyby z niebios zbawcze popły-[nęły strugi,
Ożywczych kropel dżdżu perliste [smugi!“

Wyrywa się tęskny krzyk z piersi Asagao. I smętna pani wieczystych mroków odchodzi. Komazawa chce ją oglądać jeszcze raz, chce dać jej się poznać — lecz Asagao już jest daleko, już w innej gra gospodzie. Następuje zmiana. Nad wzburzonemi falami Oigawy błądzi zrozpaczona Miyuki i woła swego kochanka (niedawno tędy przejechał) i już chce się rzucić w mętną rzekę — gdy nagle zjawia się przy niej wierny jej sługa z dawnych lat Sekisuke i gospodarz zajazdu „pod bogiem szczęścia“ p. Tokuyemon. Gospodarz oddaje Miyuki zostawione podarki dla niej od Komazawy — wśród tych lekarstwo z Chin na oczy, które miało skutkować tylko wtedy, gdy było pomieszane z krwią męża, zrodzonego w r. „Ki-no-ye No“. Zacny Tokuyemon wtedy się urodził, więc dla pięknej Miyuki przebija się sztyletem. „Asagao“ ogląda światłość dzienną i raduje się w sercu i zimne ciało Tokuyemona całuje z wdzięczności. Teraz i Komazawę wnet pewnie odnajdzie...

Jakaś niezwykła, słoneczna moc bije z tych utworów. Ludzie żyjący, chytrzy i dokuczliwi, piękni i dobrzy, naiwni i prości, a przytem tak głęboko wyczuwalni i z całą przyrodą zbratani. Czytelnik będzie sobie musiał intuicyjnie dośpiewać niektóre piękności, które poginęły w przekładzie, zwłaszcza „Terakoyi“.

Fel. Gw.

WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE. — A. Drogoszewski: „Władysław Syrokomla“, odbitka z Bibljoteki Warszawskiej, nakł. Księgarni Naukowej.

— Dunin-Sulgostowska: „Slöjd i jego stanowisko wobec wychowania i hygjeny“, „Towarzystwo opieki nad dziećmi umysłowo upośledzonemi w Szwecji“.

— Dr. Sonnenberg: „O błędach lekarskich ze stanowiska nauki i w obliczu prawa“, nakładem Rychlińskiego w Łodzi.

— M. Rawita-Witanowski: „Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym“. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

ZAPISKI.

Insygnja królów polskich. Niezależnie od ogłoszonej niedawno książki p. Feliksa Kopery o skarbcu królów polskich, opracował tej miary badacz średniowiecza polskiego, co prof. Franciszek Piekosiński, kwestję insygnjów królów polskich i wyniki tych badań zamierza ogłaszać kolejno w wydawanym przez siebie roczniku p. t. „Herold polski“, którego tom za rok ubiegły 1904 kończy się właśnie drukować. W tomie tym zamieszczone zostały insygnja królewskie, a zwłaszcza trony z epoki piastowskiej; późniejsze zamieszczone będą w następnych tomach.

Herby miast i miasteczek polskich. P. Wittyg, literat z Warszawy, autor książki o ekslibrisach polskich darował w roku zeszłym Muzeum narodowemu w Krakowie zbiór blisko 2000 pieczęci miast i miasteczek polskich, pod warunkiem, że Muzeum narodowe ogłosi je drukiem. Muzeum ten warunek przyjęło i w tej chwili jest w druku zeszyt pierwszy wydawnictwa, obejmujący litery A. B. C. Spodziewać się należy, że wydawnictwo to zapoczątkuje nareszcie pewną dążność do uporządkowania przynajmniej herbów miejskich. Obecnie bowiem bardzo wiele miast pozarzucało stare, z czasów Rzeczypospolitej pochodzące herby, a pieczętuje się dowolnymi znakami, nowszego pochodzenia. Pożądanem by było zbadanie pochodzenia i różnych modyfikacji, jakim herby miast i miasteczek z biegiem czasu ulegały. Wydawnictwo Muzeum narodowego, o którem wspominamy, być może zapoczątkuje wydanie dokładnego, naukowo opracowanego herbarza miast i miasteczek polskich.

Jubileusz księgarni Altenberga. W roku 1880 nabył błog. pam. Herman Altenberg księgarnię F. H. Richtera, a od tei daty minęło dwadzieścia pięć lat pracy księgarskiej i rozwoju znanej we Lwowie powszechnie, a bardzo ruchliwej księgarni, której kierownictwo obecnie znajduje się w rękach p. Altenbergowej, p. A. Altenberga i dr. Vorzimmera. Jubileusz swój obchodzi księgarnia wydaniem wspaniale ilustrowanego katalogu, który daje dokładny pogląd na wydawniczą działalność księgarni w ciągu ćwierćwiecza, a wspomnieniem Hermana Altenberga, napisanem przez Wład. Bełzę, oddaje należyty hołd cieniom swego założyciela. Głównem usiłowaniem księgarni były ilustrowane wydawnictwa dzieł wieszczów naszych, antologje poetów swojskich i obcych, a ostatnimi czasy takie wydawnictwa jak „Sztuka polska“ (malarstwo), dzieła Wład. i Bron. Łozińskich, Kazimierza Mokłowskiego, obszerne perjodyczne wydawnictwo „Wiedza i życie“ i t. d. Katalog dla przyjaciół firmy miłą może stanowić pamiątkę.

Fr. Jaw.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.